



Wychodzi we
Lwowie z końcem
każdego miesiąca
Wkładka roczna
z prenumeratą
wynosi 1 zł. 20 ct.
Dla nauczycieli
pow. i uczniów
tylko 70 cent.
z przesyłką 82 ct.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego

TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja
i ekspedycja
we Lwowie
ulica Teatynska
liczba 23,
dokąd też wszy-
stkie przesyłki,
wkładki i prenu-
meraty adreso-
wać należy.

REDAKTOR: FELIKS LEWANDOWSKI.

CHIEF KISBERCZYK.

(Obrazek z życia konia wojkowego).

Tysiąc, tysiąc dwieście... czterysta... sześćset, po raz pierwszy — drugi — trzeci i Chief XII. z słynnej stadniny Kisberskiej staje się własnością hr. A.

Już po sześciu miesiącach znajdujemy Chiefa w stajni pułku ulanów, który pogardziwszy chlebem dworaków, a nadto przy pierwszej paradzie „sprośnie poniżywszy” swego nowego pana, wstąpił do służby wojkowej.

Pułkownik oddał go młodemu porucznikowi X. Mija ciężki dla Chiefa rok szkoły; wiele pracy i trudułoży porucznik na tresurę, lecz ta praca i cierpliwość hojnie się wynagradza; Chief staje się nieprześcignionym koniem do szarży, do czego już z góry przez pułkownika był przeznaczony. Przed frontem stoi jak mur, pędzi jak strzała, toczy koła jak orzeł. Przy każdej inspekcji porucznik odbiera pochwały brygadyera, a przy większych manewrach tylko porucznik X. zawsze otrzymuje rozkaz do ordynansu; a dopiero co za efekt przy paradowaniu pod oknami.

Wszyscy zazdroszczą porucznikowi X. takiego rumaka. Na dzielnym Chiefie odbywa porucznik X. jedną i drugą wyprawę wojenną, z pierwszej powraca rotmistrzem, a z drugiej

pulkownikiem, a honory te, awanse a nawet i życie zawdzięcza dzielności Chiefa.

Już dobiega pięć lat służby wojskowej, po której Chief stać się ma prywatną własnością pulkownika, gdy wtem przyjeżdża z Wiednia wysoki dygnitarz, „*excellencya*“ i pragnie koniecznie nabyć Chiefa, jako w wojnie ostrzelanego, przed frontem najdzielniejszego konia.

Pulkownik X. z żalem serca przeciąga jak może układy, weterynarze oglądają Chiefa i żadnej w nim wady odkryć nie mogą, już, już ugoda ma przyjść do skutku, gdy Chief zapada na zapalenie oka. Nie nie pomagają starania trzech weterynarzy, nie nie pomaga wierny i kochający go sługa oficerski Iwan, który go pielęgnuje jak dziecię, Chief ociemniał na oko prawe.

Excellencya zrzeka się Chiefa. O tym czasie nadszedł rozkaz przeniesienia pulku do Węgier. Chief na jedno oko ślepy, rozstać się musi ze służbą wojskową a pulkownik z ukrytą łzą w oku oddaje go przyjacielowi swemu, pewnemu obywatelowi w Tarnopolskiem na chleb łaskawy. Iwan Iwańczuk wierny sługa, przywiódłszy swego ulubionego Chiefa do pańskiej stajni, nie może się rozstać z swym wieloletnim przyjacielem. Serce mu pęka z żalu, płacze jak dziecko, żegna go i odstąpić nie może, ściska i całuje szyję konia, i pieści i głaska, i odchodzi i wraca, bo jeszcze zapomniał powiedzieć służbie stajennej o jednej drobnostce, co jego Chief lubi, jak z nim postępować, jak czesać; co mu do żłobu włożyć. Coś nie dowierza leniwej służbie dworskiej i oku nowego pana.

Tak mijają dwa lata, obywatel ów umiera, majątek przechodzi w ręce cudze, Chief z konia cugowego przechodzi do pługa, z tęsknoty i ciężkiej pracy ślepnie na drugie oko i zwykłym losem końskim dostaje się w ręce żydowskiego furmana.

Wkrótce powraca pulk ułanów do Galicyi i znowu spotykamy w roku 188† pulkownika X. w pewnej mieścinie Podola. Siedzi przed sklepem Leiby Turteltauba, opowiada o losach swego niezapomnianego Chiefa i wypytuje o los jego.

Przed sklep zajeżdża fura żydowska i staje dla złożenia towarów. Trzy nędzne szkapy pospuszczały głowy, korzystając z krótkiej chwili odpoczynku, nogi drżą pod niemi z nadmiaru przeciążenia, skóra na nich brudna i pościerana, a boki świecą kośćmi. „Ten kasztanowaty u drączka zaznał pewnie lepsze czasy“ — rzecze jeden z poruczników do pulkownika. —

Pułkownik okiem pełnem litości ogląda wynędzniałe koniska i woła nagle: „to Chief, to Chief!“ I rzeczywiście był to Chief, na prawym boku miał jeszcze słaby ślad znaku pułkowego na obtartej skórze.

„Ile chcesz za tego kasztana?“ zawołał na żyda. „Trzydzieści reńskich“, z radością odpowiada furman, przewidując dobry interes. „Wyprzęgaj! — oto masz trzydzieści reńskich“, i biedny Chief nogami wlokąc, poszedł za ułanem do stajni pułkowej.

Iwan Iwańczuk zaledwie ujrzał konia na dziedzińcu koszarowym, podbiegł do ułana i odebrał mu z rąk Chiefa, którego z daleka już poznał; prowadzi go z radością do stajni, a gdy już tam stanęli, biedny Chief z ufnością oparł głowę na ramieniu Iwana. Nie miał słów skargi, nie skarżył się wyrządzonej mu krzywdy, ale stan jego oskarżał jawnie ludzi o nieludzkłość.

Iwańczuk i radował się i bolał nad swym dawnym przyjacielem, oczyścił go z brudu i potu, rany powymywał i ponacierał, pokrajał ostatni swój chleb komisny, posypał solą i głasząc, podawał mu jego dawną łakotkę, zrobił mu miękką podściółkę nim przyszedł pułkownik do stajni.

„Daj mu owsa ile chce“, powiedział do Iwana, a głodny Chief, który już długo żywił nędzne swe życie tylko słomą i sieczką, zwolna żuł, skropiony, miękki, żółty owies, zwracając zawsze głowę w stronę Iwana, który go nie odstępował, owsa dosypywał i ręką podgartywał. Potem przyniósł Iwan kilka kawałków cukru, i podając mu po kawałku, przemawiał: „jedz biedaku, tegoś już dawno nie kosztował“. Gdy noc zapadła, i w koszarach nastał spokój, Chief położył się na miękkiej podściółce, a wyciągając swe zbolale członki, westchnął tak ciężko, że Iwańczukowi mało serce z żalu nie pękło.

Rano, cichutko otworzył Iwan stajnię, aby swemu przyjacielowi nieszczęśliwemu w spoczynku nie przeszkadzać, lecz Chief ledwie poczuł swego przyjaciela, z trudnością podniósł się a gdy dotąd budził go zawsze bat i dziki krzyk furmana, dziś poczuł na sobie przyjacielską dłoń i usłyszał pieszczotliwy głos przyjaciela.

Jeszcze raz odwiedził pułkownik byłego swego towarzysza wiernego, a gdy Chief najadł się do woli owsa i cukru, kazał go Iwanowi prowadzić, zwolna i ostrożnie, gdyż biedne konisko ślepe i znękane, ledwie nogami wlokło. Iwan przez całą drogę

ocierał lzy rękawem, lecz posłuszny rozkazowi, siedł jak na stracenie. Wreszcie stanęli u brzegu lasu. Pułkownik rozkazał trębaczowi, któremu kazał iść razem, zatrąbić sygnał do ataku. Chief wzniosł głowę, postrzygł uszami, a szyja jego wygięła się w pięknych konturach, jak za dawnych czasów. Ostatni raz przypomniał sobie minione dni chwały. Zagrzmiał drugi sygnał do marszu, a z nim razem huk pistoletu, i cierpienia Chiefa się skończyły. Runął na murawę, a z nim razem ryczący z żalu padł Iwan, obejmując ramionami kureczowo skrzeple ciało swego przyjaciela.

Pułkownik nie mogąc znieść tego widoku, odwrócił się i szybko odszedł.

Iwan tylko wołał: „tylko głębiej! tylko głębiej! wybierajcie grób, dla nas obydwóch“. Ledwie go oderwali ulani towarzysze od skrzepłych zwłok Chiefa, a gdy już grób zarównali ziemią, wetknął Iwan trzy gałązki zielone na grobie swego ulubieńca, który swój zawód rozpoczął jako czystej rasy *Kisberczyk* a skończył jako *koń żydowski*.

Zwierzę ma własną wolę.

(Powiastka arabska).

Był pewnego czasu bardzo mądry szejik, ten wszystkie zagadnienia świata znał i nie było przed nim ukrytego. Otóż pewnego razu, chodząc z głębokimi swemi myślami po pustyni, przyszedł aż na brzeg tejże i zastał tam na zielonej oazie karawanę kupców. Z głęboką pokorą ducha słuchali kupcy mądrych zdań szejika, i na wszystko kiwali głowami. Wielbłądy stały opodal i spożywały spokojnie pysznie woniejące siano. Szejik przystąpił do wielbłąda i przypatrywał się z bliska, jak zwierzę posilało się na długą i uciążliwą podróż. Nagle wielbłąd przestał jeść i wzniosł szyję do góry.

„Czemu to zwierzę nie jé dalej? zapytał szejik poganiacza. „Ono nie chce“. To rozgniewało mądrego szejika, który rzekł: „Głupi człowiecze! żadne zwierzę nie ma woli, nie może chcieć albo nie chcieć“. Wypowiedziawszy to mądre zdanie, podniósł żdźbło słomy i ostrym końcem zaczął lechtać wielbłąda po nosie, aby znowu głowę spuścił i jadł siano wonne. Lecz wielbłąd rozgniewany kopnął mądrego szejika nogą w brzuch tak, że tenże odleciał daleko w piasek między kolczaste kaktusy i porządnie się pokłuli. Podniósłszy się z ziemi zawołał: „Allah jest wielki! To zwierzę rzeczywiście nie chce. Ono ma własną wolę!“

Giemzy w górach Olbrzymich.

Giemzy wypłenione już prawie zupełnie w Szwajcaryi, stanowią w Wyższej Bawaryi, w ks. Saleburskiem, w Styryi, Południowym Tyrolu, w Karyntyi prawdziwą ozdobą tamtejszych gór alpejskich. I w naszych Karpatach zanosilo się już także na wyniszczenie tych pięknych zwierząt, aż musiano osobną ustawę w roku 1869 temu zapobiedz. W górach Olbrzymich nie było ich dotąd, a starania hr. Schaffgotta przesiedlenia ich do tych gór, nie odniosły żadnego skutku. Obecnie czyni p. Deker Boberstein z Hirszbergu nowe starania zaaklimatyzowania tych zwierząt w górach tamtejszych. Nabył on temi dniami od pewnego właściciela hotelu jednego samca, który zanadto wielką poufałością a szczególnie swoją wyższą szkołą skakania stawał się gościom jego ogrodu nieco niewygodnym. Nadto zamówił Deker z Tyrolu południowego, zkąd i ten samiec pochodzi, partję z czterech giemz (jednego samca i trzy kozy) i otrzymał już w Styeczniu jedną kozę, reszta zaś nadejdzie, gdy warunki klimatyczne pozwolą, w Lutym. Na razie urządzono dla nich park o 20 morgach rozległości, ogrodzony wokoło płotem 4 metry wysokim. W parku tym są góry i doliny, płynąca woda, partya skal i schroniska przed zimnem. Gdy się tu zaaklimatyzują i rozmnożą, puszczone będą w góry Olbrzymie.

Starożytność lwowska.

Z postępem czasu znikły już prawie do szczytu ślady starożytności Lwowa. Lwów z każdym dniem przybiera cechę nowożytną, strój modny, kosmopolityczny, a nawet stare nazwy ulic i placów ustąpić muszą nomenklaturom modnym, aby już nie nie przypominało Lwowianom jego sławy dawnej i jego nieszczęść. Pozostaje jeszcze jeden zabytek minionych wieków, o którym nie wspominają wprawdzie nie archeologowie, który jednak przetrwawszy wieki, urąga wszelkim nowatorstwom, tak, że nawet pyłu wieków z niego nikt zdmuchnąć się nie ośmieli. Minęły już czasy świetnych dawnych cechów przeróżnych rzemiosł ze wszystkimi ich przywilejami a nawet wspomnieniami historycznymi; tylko jeden z nich utrzymał się nienaruszony, nie-
tknięty, silny i zdrowy jak dąb prastary, z którego nawet wiek XIX. nie stracił ani jednego liścia zielonego. Jest nim cech rzeźnicki. Jak przed wieki bili rzeźnicy wieprze i cieleta po dom-

kach własnych, po za murami miasta, rozrzuconych po rozległych przedmieściach, słabo jeszcze wówczas zaludnionych; jak przed wieki ściągali rzeźnicy swój towar wózkami do miasta i sprzedawali go na ławach przed kościołem katedralnym i św. Krzyża, tak samo i dziś biją rzeźnicy wieprze i cielęta po domach własnych, lecz już nietylko po gęsto zaludnionych przedmieściach, ale nawet w śródmieściu; tak samo dziś zwożą swój towar wózkami i sprzedają go na ławach przed kościołem Bernardynów i na najcieńszym placu Halickim. Dziś istnieje we Lwowie 120 rzeźników t. z. damskich, którzy mają rzeźnię w domach własnych, prywatnych, wśród gęsto rozsiadłej ludności, a każda taka rzeźnia (mordownia) prywatna jest gniazdem najobrzydliwszego niechłujstwa, gniazdem zatruwającym wszerek wokół powietrze cuchnącemi wyziewami. Tajemnic takich rzeźni odsłaniać tu nie chcemy, bo uczynilibyśmy nieprzewyciężony wstręt do wszystkiego, co niestety z takich rzeźni pochodzi i co cała ludność konsumować jest zmuszona. Akta Towarzystwa, akta c. k. policyi, sądów i Magistratu zawierają wiele faktów stwierdzających ten smutny stan, tolerowany w stolicy kraju. Nie dawno skonstatowaliśmy za pomocą policyi, że jeden z takich rzeźników zawieszał żywe, głodem wymorzone cielęta na hakach, głowami na dół, potem zasiadał do obiadu lub siedł na szklaneczkę piwa, a dopiero, gdy już cielęta napływem krwi do głowy były prawie uduszone, nacinał skórki, wydmuchiwiał je jak balony, a w końcu dorzynał, aby mógł gościom swoim służyć „białą cielęcina“. Wieprze zmorzone głodem, a potem klute, nawet pod nożem nie kwiczały. U innego, którego rzeźnię musiano zdobywać szturmem, aby się do wnętrza dostać, znalazły organa Magistratu między główkami cielęcemi i główkę żrebiecia, które pewnie zginęło śmiercią naturalną. W każdym przypadku doszliśmy do wiadomości naszej, winni zostali surowo ukarani, lecz cóżto na tysiące i tysiące faktów zatajonych?

Chociaż organa miejskie weterynaryjno-sanitarne mogłyby nad takimi rzeźniami rozciągnąć nieco troskliwszą opiekę, zaprzeczyć się jednak nie da, że wszystkich tych rzeźni, rozrzuconych po tak rozległym obszarze nadzorować i skontrolować nie podobna.

Nie nie pomogą wszystkie nowsze czasy wprowadzone zarządzenia sanitarne, jak długo tolerować będziemy te rzeźnie prywatne, te gniazda szerzące choroby rozliczne. Doszło już bo-

wiem do tego, że gdy ktokolwiek nagle zachoruje, najpierw pytają go czy nie jadł kielbasy, szynki lub cielęciny, i często się to na ludziach sprawdza, że po spożyciu tych artykułów zachorowali.

Gdy w Krakowie, Tarnowie, Stanisławowie, Rzeszowie podbudowaniem już rzeźni publicznych, zapobieżono temu złemu, Lwów stolica kraju, jeszcze nie pomyślała nad tem. Dziś, gdy gminie po przeprowadzonej konwersyi długów pozostaje jeszcze nadwyżka gotówką około 70 tysięcy, składają ją do kasy jako fundusz rozporządzalny a nikomu na myśl nie przyjdzie użyć choć części tej sumy na sprawę tak piekącą jaką jest rzeźnia publiczna. Spodziewamy się, że między ojcami miasta znajdzie się choć jeden, który tę sprawę podniesie i do skutku doprowadzić zechce, czem na rzetelną wdzięczność mieszkańców sobie zasłuży.

F. L.

Wóz ambulancyjny dla zwierząt.

Obchodzenie się ze zwierzętami domowymi jest niezawodną cechą usposobienia i stopnia moralności tak pojedynczych ludzi jak i całego społeczeństwa. Nie dość jest dbać o zwierzę domowe tylko wtedy, gdy ono pracą swą odplaca nam stokrotniełożone na utrzymanie jego kosztą, lecz okazać mu powinniśmy wdzięczność naszą i wtedy, gdy przypadkiem znajdzie się w stanie niezawinionego kalectwa, lub nawet z winy naszej utraci życie, lub zmuszone jest oddać je dla dobra naszego.

Cheśmy tu mówić o koniach przypadkiem na ulicach miast okaleczalnych, które to wypadki przy zwiększonym ruchu po dużych miastach wydarzają się dość często. Wypadki te poruszające zwykle uczucia publiczności do żywego, wpłynęły na zarządy miast do poczynienia takich urządzeń, za pomocą których zwierzęta okaleczane jak można najszybciej i z zachowaniem pewnych względów ludzkości z widoku publicznego usuwane bywają. Przypominamy tu dwa wypadki we Lwowie, gdzie w pierwszym, koń od wozu pocztarskiego, padłszy na lodzie złamał nogę i leżał przed samem namiestnictwem przez pięć godzin, nim przybyli pomocnicy rakażka z wózkiem; w drugim podobnym wypadku tej już zimy, koń dorożkarski leżał na ulicy Zamarstynowskiej przez godzin siedm. W pierwszym i drugim razie konie musiały w oczach oburzonej publiczności być dobite na miejscu, gdyż wyciąganie konia jeszcze żywego na wózek bardzo nieodpowie-

dniej konstrukcyi i przez niewprawnych pomocników rakarskich przyczyniłoby mu jeszcze większych męczarni. W innych wypadkach duszono nawet konie sznurami w sposób tak oburzający, że publiczność nie szczędziła wcale drastycznych przemówek dla tych, do których zapobieganie takim scenom gorszącym należy.

W roku 1882 sprowadziło Towarzystwo model wozu ambulancyjnego, używanego w Hamburgu, jakoteż modele innych przyrządów ratunkowych i dźwigni do podnoszenia koni, i wystawiło je na widok publiczny w miejskim urzędzie targowym. Równocześnie upraszało Magistrat i Radę miasta o sprawienie odpowiedniego wozu dla miasta Lwowa. Skutek tego był taki, że na wniosek nadradcy p. Łyszkowskiego, komisya budżetowa miasta przyjęła w roku 1884 kwotę 300 zlr. na sprawienie takiego wozu, lecz do dziś dnia uchwała ta nie doczekała się wykonania. Możemy się tedy we Lwowie często spotkać z widokiem bardzo niemiłym wożenia po ulicach miasta trupów końskich na wózku zupełnie odkrytym a przykrytych i to niedostatecznie płachtą sprawiającą jeszcze większy wstręt i obrzydzenie.

W Rydze, Hanowerze, Hamburgu i indziej utrzymują Towarzystwa ochrony zwierząt własnym kosztem odpowiednio urządzone wozy ambulancyjne dla zwierząt; tam bowiem Towarzystwa doznają zupełnie innego poparcia moralnego i materyalnego od społeczeństwa, dla krórego pracują. U nas jeszcze o czemś podobnem nawet pomyśleć trudno. W stolicach pierwszorzędnych zarządy miasta już od dawna postarały się o dostateczną liczbę takich wozów ambulancyjnych i mają w tej mierze osobno zorganizowaną straż sanitarną. W Paryżu, w ulicach o największym ruchu wozowym w miejscu krzyżowania się ulicy *rue de Faubourg Montmartre* z bulwarami, gdzie dziennie przejeżdża 25 tysięcy wozów i to dla nietamowania komunikacyi, w szybkim biegu i gdzie o wypadki nie trudno, stoją wozy ambulancyjne zawsze w pogotowiu, a służba jest tak w swym zawodzie wydoskonalona, że uprzątnięcie konia padłego i pozostałego wozu odbywa się tak szybko, że publiczność nawet tego niedostrzega.

Rozumie się, że takiego urządzenia dla Lwowa żądać nie możemy, lecz tego domagać się możemy, aby przynajmniej owe 300 zlr. na ten cel już przed laty uchwalone raz zużytkowane zostały, tego bowiem wymaga sam honor stolicy, jako pierwszej

gminy w kraju, dla dania dobrego przykładu gminom mniejszym, które w niektórych urządzeniach (n. p. rzeźnie) już ją prześciagnęły.

F. L.

W sprawie ochrony koni.

Kto się zajmuje losem tych nieszczęśliwych zwierząt, ten wkrótce przekona się, że pole to jest niezmierzone. Koń jest najnieszczęśliwszem, najbardziej udręczonem i najwięcej opieki potrzebującym stworzeniem. W usługach dla człowieka zestarzały, okaleczone, osłabiony i schorzały, zdaje się służyć jeszcze tylko na to, aby ostatnią kroplę krwi jego wyzyskano. Do ulżenia losu jego nie wystarcza wykupywanie koni nędznych. Jedynym tylko środkiem, wiodącym do celu, byłoby prawne przytrzymywanie i od użytku usuwanie koni do pracy niezdolnych, a co tylko w Bawaryi z całą surowością prawa przeprowadzanem bywa. Nim koń stanie u wozu piaskarza, drażkarza a nawet i dorożkarza, lub nim stanie się już zupełnie niezdolnym, ileż on już stopni mąk przejść musiał? ileż on już wycierpiał? Leez uzyskanie takiego prawa pozostanie ponoś zawsze tylko skromnem naszym życzeniem. Tego tylko w obecnych czasach żądać mielibyśmy prawo, to jest ścisłego nadzoru nad rakarniami, aby zapewnić mu szybką i najmniej bolesną śmierć i zapobiegać możliwości sprzedawnia dalej koni, już raz na zabicie przeznaczonych, aby przynajmniej koniec życia tych najwięcej udręczonych zwierząt, stał się mniej bolesnym. Przeciwnie temu nie powinniśmy mieć do zarzucenia ci, którzy wołają na nas: „pierwej ochrona ludzi niż zwierząt“, gdyż zabicie konia jest pewnie najniższą nagrodą, za długoletnią wierną służbę, a nawet przyniesie jeszcze w zysku mięso i skórę zwierzęcia. Usuwanie zatem koni niezdolnych z mocy prawa i ścisły nadzór nad rakarniami mogłyby stanowczo wpłynąć na polepszenie losu koni, i w tym kierunku powinny zespolić się dążności wszystkich Towarzystw, które powinnyby rozwinąć czynność z taką energią, z jaką obecnie starają się przeprowadzić kwestyę zabijania zwierząt na rzeź przeznaczonych.

Nieco o sprawach Towarzystwa.

Krakowskie Stowarzyszenie ochrony zwierząt zawiązane dopiero w roku przeszłym liczy już w samym Krakowie członków 169. Galic. Towarzystwo we Lwowie istniejące od roku 1876 liczy we Lwowie

samym członków 200. Liczyliśmy wprawdzie we Lwowie w poprzednich latach członków więcej, lecz nigdy nie prześcignęliśmy liczby 400. Wielu członków ubyło przez śmierć, przez wyjazd, lecz najwięcej ubyło z powodu ściągania wkładek wysokości 10 centów miesięcznie czyli 1 złr. 20 ct. rocznie. Gdy który zalegał z wkładkami za rok jeden, drugi i trzeci, odbierając przez ten czas najregularniej każdego miesiąca „Miesięcznik“ (gratis) i gdy wreszcie kolporter o wkładkę się upomniął, otrzymywał zawsze stereotypową odpowiedź: „ja już do Towarzystwa nie chcę należeć, proszę mię wykreślić“. Czemuż tego nie powiedział po roku pierwszym? Tak samo działo i dzieje się z członkami na prowincyi. Są członkowie rzeczywiści i we Lwowie i na prowincyi, którzy swe wkładki najregularniej uiszczają, a będąc już członkami od lat kilku i kilkunastu bez przerwy, wyrobili sobie przekonanie, o ile dążności, praca i skutki Towarzystwa godne są ich poparcia, i popierają je. Inni zachęceni jakimś drastyczniejszym wypadkiem, jakimś artykułikiem w „Miesięczniku“ zapisują się do Towarzystwa i składają pierwszą wkładkę. Otrzymują 12 razy do roku „Miesięcznik“ *franco* do domu, odbierają rok drugi, trzeci, nie płacąc. Pozwalają przysyłać sobie od czasu do czasu przypomnienia w różnej formie raz, drugi i trzeci... lecz nie nie odpowiadają. Dlaczegoż to nie zawiadomić korespondentką zaraz po roku pierwszym: „Występuję — proszę mię wykreślić“. To są te pasożyty, które najzdrowszy pień niszczą, zrujują. My od innych Towarzystw wychodzimy o tyle na tem gorzej, że przysyłając wszystkim „Miesięcznik“ (gratis) dokładamy jeszcze rocznie 12 ct. na marki pocztowe, na przypomnienia; a gdzież kosztu administracji, gdzież kosztu druku „Miesięcznika?“ Czyż taka niesumienność nie zasługuje na napiętnowanie publiczne? Zamiast, abyśmy szli w pomoc dążnościom naszym realniejszymi urządzeniami i zamanifestowali się na zewnątrz, musimy fundusze reszty członków roztrwaniać na takie brudne pasożyty.

Stowarzyszenie krakowskie oddaje się milej nadziei, że wkrótce już powita pierwsze filie swoje w Myślenicach i Tarnowie. Życzymy mu tego, życzymy z całego serca. I my mieliśmy te piękne nadzieje, co więcej — mieliśmy je ziszczone. Mieliśmy filie czyli Oddziały: w Tarnowie, Sanoku, Stanisławowie. Kołomyi, Brodach, Brzozowie, Rozdole, Przemyślu, Pilźnie, Ropczycach, Gorlicach, Winnikach etc. Wszystkie po roku, po dwóch zniknęły z widowni, nie złożywшы ani sprawozdania, ani rachunków za pobierane od nas „Miesięczniki“ i inne druki i broszury zapasowe, wszystko z niemi przepadło. Tą niesumiennością podkopali główne Towarzystwo materyalnie i moralnie, i tylko silnej woli kilku jednostek zawdzięczyć należy, że nie sprawili już pogrzebu całemu Towarzystwu. Tyle tylko zrobili dobrego, że wyleczyli nas zupełnie od zakładania nowych oddziałów. Gdzie tylko inicjator oddziału, który zwykle wybrał sobie najzmudniejszy i najskromniejszy udział sekretarza, zmuszony był opuścić tę posadę, pozostawiając zawsze „godnego“ siebie zastępcę, tam już można było zaśpiewać oddziałowi: *De profundis*. Pozostałe jeszcze cztery oddziały: najstarszy w Mikulińcach, dalej w Tar-

nopolu, Buczaczu i Rzeszowie przebywszy już ciężkie dni próby, może zdołają się utrzymać, walcząc tam z większymi przeciwnościami niż główne Towarzystwo we Lwowie.

W Tarnowie liczył oddział nasz już w pierwszym roku członków 140. Założycielem jego był p. Józef Bereczkowski. Oddany sprawie całą duszą a pokonując wszelkie przeciwności i ogromny nawał pracy, ujrzał wreszcie dokonane dzieło. Niedługo jednak cieszył się owocem trudów swoich. Już bowiem na trzeciem walnem Zgromadzeniu, ogłoszonym przez Wydział plakatami, płatał się biedaczysko po sali zgromadzenia sam jeden ze swemi aktami i sprawozdaniami. Ani jeden członek Wydziału, ani sam prezes, ani jeden ze 140 członków nie uznali za stosowne przyjść i wysłuchać sprawozdania z pracy sekretarza, do której żaden ani grudki nie dorzucił. Z całej tej falangi obrońców pozostał dotychczas tylko jeden, wierny swemu przekonaniu, a jest nim właśnie obecny delegat krakowskiego Stowarzyszenia p. Zygmunt Morawski, człowiek żelaznej woli i wytrwałej pracy. Być może, że on ziści nadzieje krakowskiego Stowarzyszenia, czego mu z serca życzymy. Lecz trudno to będzie, trudno. Szczęście Boże!

Z Towarzystw zagranicznych i krajowych.

Londyn. Towarzystwo ochrony zwierząt w Londynie obchodziło w roku zeszłym jubileusz swego 62-letniego istnienia. Jest ono pierwszym i najstarszym tego rodzaju Towarzystwem. Królowa Anglii jest już 52 lat protektorką onegoż i to nie nominalną tylko, lecz gorliwie szerzy jego zasady moralne w całym kraju i zapewnia poszanowanie dla nich swoją powagą. W uroczystości wzięła osobiście udział w gronie księcia i księżnej Walii tudzież najbliższych swych krewnych, którzy stoją na czele tego potężnego i w środku zasobnego Towarzystwa. Sekretarzem jest od wielu lat znany z swej żelaznej energii Mr. John Colam, a Towarzystwo jest w tem przyjemnem położeniu, że może za służonemu swemu sekretarzowi wypłacać honorarium roczne 800 funtów szterlingów.

Związek Towarzystw austriackich złożył przez osobną deputację, uchwalony na zgromadzeniu delegatów wszystkich Towarzystw austriackich projekt nowej ustawy o ochronie zwierząt, na ręce członka Izby panów, byłego ministra oświaty, Konrada d'Eybesfeld, honorowego kuratora Towarzystwa wiedeńskiego i na ręce Dra Rozera, deputowanego, prosząc o wniesienie tego projektu w Izbie panów i w Radzie państwa i o poparcie onegoż.

Deputacya doznała jak najżyczliwszego przyjęcia.

Towarzystwo tyrolsko-vorarlberskie otrzymało temi dniami list od teraźniejszego księcia Bulgaryi pelen wyrazów życzliwości i szacunku z dołączeniem daru dla Towarzystwa 200 franków. Ksiązę w liście tym zapewnia, że mimo oddalenia swego nie zapomina o Towarzystwie, dla którego żywi zawsze najwyższy szacunek.

Rzeszów. Wydział Oddziału Towarzystwa ochrony zwierząt uchwalił na posiedzeniach dnia 4 i 6 b. m. odbytych: 1) policyantom tutejszym udzielić za zasługi około ochrony zwierząt położone następujące premie: Sabinie i Reicherowi po 3 zlr. 50 ct., Sławińskiemu 2 zlr. 50 ct., Sikorze 1 zlr. 80 ct. Wosiowi 1 zlr. 20 ct., Wiąckowi 1 zlr., zaś Sławińskiemu, Beresiewi i Kątnikowi po 85 ct., a to na podstawie wykazu przez Magistrat udzielonego, według którego Sabina i Reicher najwięcej, bo po 17 doniesień zrobili, zaś Sławiński, Beres i Kątnik tylko po 5, innych zaś, którzy jeszcze mniej doniesień na dręczycieli zwierząt wnieśli, wcale nie uwzględniono. 2) Postanowiono w ogrodzie miejskim urządzić żerowiska dla ptaków i w tym celu ogrodnika p. Kosturka do dozorowania uprosić. 3) Przypomnieć się Dyrekcyom szkół tak co do urządzenia żerowisk, jak i zachęcania dziatwy szkolnej do prenumerowania „Miesięcznika“. 4) Wykreślić tych członków, którzy bądź z Rzeszowa się przenieśli, bądź też należitości uiszczać przestali. 5) Zaurgować delegatów w Tyczynie, Kańcucie, Przeworsku, Leżajsku i Kolbuszowy, aby tak sprawozdanie, jak i należitości nadesłali. 6) Uprosić pp. właścicieli restauracyi i kawiarni, aby okruszki z ich stołów zbierane ptaszkom wysypywali. 7) Zakupić jeden egzemplarz dzieła o weterynaryi. 8) Odpowiedzieć centralnemu zarządowi co do należitości za „Miesięcznik“ przypadającej. 9) Uprosić Naczelnictwo stacyi kolejowej w Rzeszowie, aby nie dozwalało na dręczenie zwierząt przy transportowaniu nierogacizny, drobiu i t. p. 10) Zwołać walne zgromadzenie na 3 marca o godz. 6 wieczór.

Buczacz. Oddział tamtejszy podjął z Nowym Rokiem no nowo przerwane nieco nieprzyjaźnemi stosunkami czynności. Członków nowych zapisało się 33. Zasluga za utrzymanie tego oddziału pod warunkami bardzo trudnemi, należy się p. Aleksandrowi Neckiemu inżynierowi, człowiekowi niezwyklej energii i wytrwałości. Temi dniami odbędzie się Zgromadzenie, celem wyboru nowego zarządu.

Dochody oprawców.

Zdawałoby się, że rakarstwo jest już ostatnim kawałkiem najędzniejszego chleba, i że ze sprzedaży skórek psich i kocich zaledwie wyżyć można. Tak było dawniej. Postęp czasu postarał się jednak o to, aby i oprawcy żyli jak panowie i robili majątki. Wynalazł tedy opłaty od psów, kagańce i t. p. uciskające psów i ich właścicieli zarządzenia, z których przeważnie tylko oprawcy ciągną zyski. W Wiedniu upłynął z przeszłym rokiem 5-letni kontrakt dzierżawy przedsiębiorstwa rakarstwa. Dotychczas płacił rakarz gminie 1.200 zlr. rocznie, a przytem żył bardzo wystawnie, trzymał powóz i konie i abonował rocznie łożę w teatrze. Magistrat rozpiął nową ofertę, i oto dotychczasowy rakarz ofiarował już gminie 4000 zlr. rocznego czynszu, a jakiś drugi konkurent podniósł go do 4050 zlr. Magistrat powziął z tego przekonanie, że i wyższy czynsz dałby się osiągnąć, i rozpiął drugą ofertę. Tu już dotychczasowy rakarz ofiarował gminie 4050 zlr. a jego współzawodnik 6000 zlr. i ten ostatni otrzymał przedsiębiorstwo.

We Lwowie dopłaca gmina rakarzowi 600 zlr. rocznie, oddaje mu do użytku rakarnię z obszernemi gruntami i daje remunerację na parobków i konia 200 zlr. Według przybliżonego rachunku organów Magistratu oprawca we Lwowie pobrał w sezonie wścieklizny w przeciągu półtora miesiąca przeszło 2000 zlr. samego wykupu psów złapanych.

I niech tu jeszcze kto zaprzeczy, że zwolennicy tego sezonu, bez którego u nas żadne lato obejść się nie może, nie napędzają oprawcy dochodów, lub, że właściciele psów nie są na to, aby złożywszy przeszło 6000 zlr. do kasy gminnej jako opłatę od psów, nie musieli jeszcze składać tak wysokiego haraczu oprawcy.

Rozmaitości.

Grupa XI. weterynaryjna programu wystawy higieniczno-lekarskiej i przyrodniczej zawierać będzie: tablice i diagramy przedstawiające choroby zaraźliwe zwierząt domowych. Plany stajni, obor, targowic, rzeźni dla miast i miasteczek, rakarni i ramp kolejowych. Plany topiarni łoju, fabryk albuminu, żelatyny itd. Sposoby usuwania odpadków zwierzęcych. Plany jatek i sklepów do sprzedaży mięsa (łodownie): sposoby odurzania, zabijania i zarzynania zwierząt, wzory wozów do transportu mięsa. Tablice przedstawiające wołu podzielonego na części według gatunków mięsa. Przyrządy do badania trychin. Sposoby desinfekcyonowania stajni, gnojników, obór. Pasożyty na skórce i we wnętrzu ciała u naszych zwierząt. Przyrządy zapobiegające niebezpieczeństwu wynikającemu ze sploszenia się koni. Okazy podków prawidłowych i nieprawidłowych. Upręże. Narzędzia chirurgiczne i weterynaryjne. Podściółki. Literatura krajowa. Przedmioty wystawione będą wykładami objaśniane. Referenci: weterynarz krajowy Littich i prof dr. Szpilmann.

Psy na gorze św. Bernarda uratowały niedawno życie sześciu osobom w czasie burzy śnieżnej.

Nadzwyczajne zdarzenie. Wypadek, bardzo rzadko we Lwowie widziany, wydarzył się w ostatni piątek. Oto członek Towarzystwa występujący przeciw przeciążeniu i katowaniu chorego konia na ulicy, doznał u publiczności lwowskiej energicznego poparcia.

Psy obrońcami. Służący Permandiger wysłany został z pakietem, zawierającym kosztowności, z Geleig do Gitzing w Wyższej Austrii. Chłopcowi towarzyszył wielki pies. W drodze napadł Permandigera jakiś olbrzymi drab, rozpoczęła się walka, której koniec łatwo by przewidzieć można, gdyby nie pies, który rzucił się na złoczyńcę, powalił go na ziemię i silnie uchwycił za gardło, uwalniając swojego pana i kosztowną przesyłkę z rąk napastnika.

— We Lwowie wydarzył się kilka dni temu podobny wypadek: „Wieczorem wracały dwie kobiety placem Misjonarskim do domu. W chwili, gdy skręcały w ulicę pod Dębem, wypadł z ukrycia łotr jakiś, uderzył jedną i drugą, zdarł im chustki z głowy i począł uciekać ku polom. W tej chwili przechodził tamtędy oficer p. R. z psem,

a widząc co się stało poszczuł psa, który w kilku susach dopadł rzeźmieszka i powalił go na ziemię. Chustki zostały odebrane i zwrócone właścicielkom. Pies opatrzony był w kaganiec, dzięki czemu rzeźmieszek więcej zaznał strachu niż bólu. Oddano go w ręce władzy“, Tak donosi Kurier Lwowski.

Tym razem zapewnić możemy, że nie pies lecz złodziej oddany został w ręce władzy. Gdyby w tym wypadku pies bodaj zadrasnął był złodzieja, byłby niechybnie na rozkaz władzy oddany oprawcy do zniszczenia a pana jego pociągniono by do odpowiedzialności sądowej. We Lwowie bowiem psu nawet szczekać nie wolno, dlatego też zapisują kroniki kilka rabunków i włamań każdej nocy.

Artur Schoppenhauer. Dzień 22 Lutego, jako stuletnią rocznicę wielkiego tego myśliciela, uczciły prawie wszystkie dzienniki niemieckie wspomnieniami pośmiertnymi, oceniając wielkie zasługi męża tego wobec ludzkości. Był on jednym z pierwszych, który przyznał i zwierzętom prawa im należne, potrafił uznać i ocenić dążności Towarzystwa ochrony zwierząt, których był wielkim protektorem i przyjacielem. Dewizę jego: „Litość jest najwyższą cnotą, od której wszystkie inne pochodzą“, podjęły wszystkie Towarzystwa, jako myśl swoją przewodnią i starają się ją w czyn zamienić. Umarł on dla nas nieco zawcześnia (1860) właśnie w chwili, kiedy rozbudzone poczucie bezwzględnej sprawiedliwości i litości poczęło ogarniać ludzi szlachetnych i pobudzało do tworzenia Stowarzyszeń dla skuteczniejszej walki z ciemiężcami zwierząt. Jego otwarte i mężne wystąpienie w obronie zwierząt sprawiło, że tysiące i tysiące ludzi stanęło otwarcie i śmiało w obronie tych zasad, które w cichości wyznawane, wobec przygniatającego wszystko materializmu otwarcie wystąpić nie śmiały. Brak nam dzisiaj takiego męża. Za następcą jego darmo się oglądamy.

Jak długo może żyć koń? *Militär-Ztg.* opowiada następujący ciekawy przykład długowieczności konia.

W hanowerskiej kawalerii po kampanii z Francją było kilka pysznych biegunów angielskich, z których jeden przyprowadzony został do pułku dragonów w roku 1793. Koń ten używauy był we wszystkich kampaniach w Hiszpanii i Portugalii (przez siedm lat), brał też udział w sławnej bitwie pod Waterloo. W roku 1816 ten sam koń oddany został do pułku huzarów, w którym przebył do roku 1847. Długoletnia służba nie nadwęgryła wcale jego sił, był on jeszcze zupełnie zdrowy, lecz rząd pragnąc go nagrodzić za trudy, polecił wycofać go z pułku i pozostawić na łaskawym chlebie. Dopiero w roku 1850 padł ten zasłużony weteran, dożywszy blisko 60 lat wieku. Oficerowie huzarskiego pułku kazali mu wyryć na deszczulce nazwisko i wywiesili ją nad odwachem dla uczczenia pamięci sławnego w pułku konia. Deszczulka ta zaginęła dopiero po wojnie w roku 1866.

Podatek od psów nie jest wcale wynalazkiem 19go wieku. Już w r. 1790 zaprowadził go książę Darmstadtzki. Dworscy leśnicy śledzili wtedy za psami, i każdy, oprócz straży leśnej, owczarzy, rzeźników i mieszkających na ustroniach, musiał płacić 5 zł. do skarbu

księcia panującego. Ponieważ ten książę był panem polowania w całym kraju, nikt oprócz niego nie śmiał posiadać psa do polowania. — Tak tedy wówczas jak i dzisiaj opłata od psów nie miała i nie ma na celu wprowadzenia jakiegoś porządku, lecz li tylko zysk i interes własny t. j. zapełniania dziur w kasie.

100 000 drobiu spłonęło dnia 16 b. m. w halach centralnych w Paryżu. Pożar wybuchł w pawilonie drobiu tak gwałtownie, że mimo natychmiastowego ratunku straży pożarnej nie wyratowano. Piwnice wszystkie zalano wodą.

HUMORYSTYKA.

Cukier i psy. A cóż to? już teraz i na cukier zaprowadzili marki tak jak na psy?

— Oj tak, tak! ale wściekać się będą tylko konsumenci, którym cukier teraz goźki będzie.

Kwiecisty wykład. Docent: Chociaż bakterye nie nam jeszcze o leczeniu chorób pewnego nie podają, uśmiechają się jednak do nas radośnie, nie pozbawiając nas nadziei.

Śpiewa bo głodny. Pani: Róziu! przestań już raz śpiewać.

Rózia: Przecież i ptaszek śpiewa choć głodny.

Oświadczył się. Wiesz Eulalio, co za szczęście! Bogaty właściciel wielkiej menażeryi oświadczył się na piśmie o moją rękę i zaręcza, że więcej już mu niczego nie brakuje, tylko mnie.

Jeździec niedzielny. O ta przekłeta szkapa! Już po raz szósty mię zrzuciła, a nadto zawsze potem stanie na miejscu i ja dla salwowania honoru znowu na nią wdrapywać się muszę. Gdyby też już raz pobiegła sobie do domu.

Pytanie i odpowiedź. — Proszę pana, czy to prawda, że w wilię Bożego Narodzenia o północy zwierzęta mówią?

— A to na jaką pamiątkę?

— No niby na tę, że wół i osioł asystowali przy narodzeniu Pana Jezusa. Więc za to woły i osły o tej porze mówią.

— Nic nie wiem o tem. Nigdy nie słyszałem wołu gadającego.

— A osła?

— O, osłów to nieraz. (*Diabeł.*)

Nowi Członkowie przybyli:

a) Do Towarzystwa we Lwowie:

Wni: Ziembicki Stanisław, inżynier kolei Lwów-Belzec; — Dr. Hibl Aleksander, kand. adw., Sanok; — ks. Szamota M., Halicz; — hr. Bukowski, Halicz; — Rybak Paweł, emer. inspektor kolei Północnej, Lwów; — Grabiński, zegarmistrz, Lwów; — Dr. Szydłowski Henryk, adwokat, Lwów; — Dr. Dzikowski Mateusz, adw., Lwów; — Homme Ludwik, komisarz Mag., Lwów; — ks. Hausmann Jan, kanonik metrop., Lwów; — Lastowiecki Franciszek, Rozbórz; — Szelichowski Teofil, maszynista, Licz-

kowce; — Mayer Wojciech, kand. not, Lwów; — i nauczyciele ludowi: Gdyra Feliks, Kamienopol; — Jewczuk Narceyz, Drohomirzany; — Damm Izidor, Rożanka.

b) Do Oddziału w Rzeszowie:

Wni: Vergesslich Józef, weterynarz miejski, Rzeszów; — Nowak Jan, weterynarz powiatowy, Rzeszów.

c) Do Oddziału w Mikulińcach:

Wni: Rutka Adolf, burmistrz, Strusów; — ks. Martynowicz Ludwik, katecheta, Janów; — Popiel Zenon, naucz., Suszczyn; — Semczyszyn Eustachy, nauczyciel, Myszkowice.

d) Do Oddziału w Buczaczu:

Wni: Nęcki Aleksander, inżynier; — ks. Gromnicki Stanisław, kanonik obrz. łac.; — ks. Telakowski Teodor, proboszcz obrz. gr.-kat.; — ks. Niedzielski Leopold, katecheta gimn.; — Kotkowski Józef, inżynier; — Höflinger Jan, cukiernik i zarządca bazazu; — Zajączkowski Józef Kazimierz, urz. kolei; — Eustachiewicz August, inżynier; — Jech Włodzimierz, pomocnik handlowy; — Rudziński Antoni, restaurator; — ks. Łotocki Włodzimierz, dyr. szkoły ludowej; — Skobielski Atanazy, auskultant sądowy; — Stern Bernard, burmistrz; — Hehl Jan, kontrolor urz. podatk. — Szujski Józef, nadkomisarz straży skarb. — Lisowski Emil, kand. uotar.; — ks. Ostrowercha Hieronim, rektor OO. Bazylianów; — Majkowski Bazyli, weterynarz pow.; — Oberc Jan, c. k. kapitan; — Jezierski Władysław, adjunkt podatkowy; — Monasterski Marian, adj. pod.; — Żelichowski Ludwik, adj. pod.; — Dr. Hubrich Teodor, adw. kraj.; — Gilewicz Romuald, c. k. kapitan; — Twardyjewicz Jan, urz. kolei państw.; — Umiński nadleśniczy skarb.; — Liebe, kontrolor skarb.; — Kalicka Marya, dyr. szk. żeńsk., wszyscy w Buczaczu; — Piotrowski Antoni, oficyalista prywatny, Bobulińce; — Błoński Władysław, ofic. pryw., Nowosiółki; — Kozik Baltazar, dzierżawca dóbr, Płoszcza; — Hofman Teofil, dzierżawca dóbr, Stadnica; — Odyniec Jarosław, zarządca klasztoru, Niżniów.

Nadpłaty złożyli:

Wni: Theifertowie 5 zlr.; — Maresch Aleks. 2 zlr.; — ks. kanonik Hausmann 2 zlr.

Korespondencya.

Szan. Stowarzyszenie Krakowskie raczy ogłosić w swoim organie lub w innej drodze donieść, co się stało z wiwisektorami zaułkowymi, czy przestali swojej roboty, i czy do odpowiedzialności zostali pociągnięci? Sprawa ta jest dla nas nader ważną, abyśmy ją zamilczeniem lub pobrażaniem ubić mogli.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.